

## WOJNA NA KRESACH WIDZIANA OCZAMI DZIECKA

---

---

*Maria Zofia Bejska*

Muszę zaznaczyć, że niechętnie wróciłam do moich wspomnień z dzieciństwa. Zmusiła mnie do tego moja wnuczka Karolina, uczennica szkoły podstawowej.

Pewnego dnia, wracając po lekcjach ze szkoły, dziewczynki, tzn. Karolina i jej koleżanka, dyskutowały ze sobą na temat II wojny światowej. W pewnym momencie wnuczka zadała mi pytanie: „Babciu, czy ty byłaś Żydówką? W czasie wojny byłaś bardzo mała. Czy pamiętasz coś z tego okresu? Nigdy na ten temat nic nie mówisz – Polacy chyba nie przechodzili tak ciężko tego, co Żydzi? Ty ani twoja mama na ten temat nie rozmawiacie. Masz bliznę na ręce i na nodze – gdy pytam się dlaczego, z jakiego powodu, zbywasz moje pytanie. Boisz się, jak jest burza; błyskawice, grzmoty i sztuczne ognie – oraz wszelkie huki wywołują u ciebie lęk i przerażenie. Odruchowo kulisz się i chowasz głowę. Powiedz – czemu? Czy winne są temu jakieś przeżycia? Nieraz śmiejemy się z ciebie, że tak się wszystkiego boisz”.

Dzięki tym pytaniom, po dłuższym okresie, uzmysłowiłam sobie, że dzięki Bogu moja córka i jej dzieci nie przeżywają tego, co ja przesłam w czasie wojny, mając cztery, pięć lat.

Wróciły wspomnienia – może moje wnuczki kiedyś poznają je, a mnie ulży, wyrzucę to, co tkwiło we mnie, co było przez tyle lat w mojej psychice i w snach.

Wspomnienia same zaczęły się nasuwać, są bardzo wyraziste w mojej pamięci. Również chcę zaznaczyć, że luki, które zaistniały, uzupełniłam, czytając zeznania mojej matki złożone w IPN, dotyczące poszukiwania mojego ojca Bolesława.

Pragnę szczegółowo opisać miejscowość, w której urodziłam się, ponieważ wiem, że utarło się przekonanie o miastach kresowych, galicyjskich, zapyziałych – biednych, zaniedbanych – a rzeczywistość przedstawiała się całkiem inaczej. W Horodence mieszkali Polacy, Ukraińcy, Żydzi i Ormianie. Wszyscy żyli zgodnie – uczęszczali do szkół podstawowych i średnich. Miejscowość była gęsto zabudowana. Cukrownia, gorzelnia, zakłady krawieckie, szewskie, sklepy. Pola wokół Horodenki były pszenno-buraczane, hodowla – stawy pełne ryb, krowy i trzoda chlewna. Z gmachów publicznych mieliśmy: starostwo, sądy, obiekty sportowe „Sokół”, były też parki oraz kolej towarowa i osobowa. Piękny kościół katolicki z kolumną Matki Boskiej, dwie cerkwie, bożnice zabytkowe oraz kościół ormiański.

Miasto Horodenka to miasto powiatowe w województwie stanisławowskim. W 1939 r. graniczyło z Królestwem Rumunii. Przejścia graniczne to Czerniowce, Zaleszczyki, połączone mostami nad Dniestrem. Dniestr jest główną rzeką, która płynie zakrętami, zakolami, jest górską rzeką, to teren Karpat. Nad Dniestrem zbudowano trzy potężne, murowane mosty, które łączyły wschód z zachodem i południem. Miasto położone jest na wzniesieniach, bo dołem płynie Dniestr. Posiadało kilka dzielnic – pamiętam tylko od strony wschodniej Dniestru Kotekówkę (bo od niej wkraczali w 1939 r. Rosjanie swoimi tankami), a prawa strona nazywana była kątem folwarcznym i tu stał nasz dom jednorodzinny, kryty blachą, z dużym ogrodem. Wszystko to miało solidne ogrodzenie, które też trochę nas chroniło. Posiadłość leżała przy ul. Reymonta 12, rodzice kupili ją przed moim narodzeniem. Ulica była boczna od głównej, która prowadziła od cukrowni, gorzelnii i dworca osobowego oraz towarowego do centrum, obok zabytkowej cerkwi pod wezwaniem św. Mikołaja. Zakłady produkcyjne, sklepy – znajdują się w centrum. Tu też bogate kamienice i domy zamieszkuje ludność żydowska, inaczej można określić tę dzielnicę handlową. Biedy raczej nie widać.

Teraz napiszę o sobie.

Mam na imię Maria Zofia. Jestem małą dziewczynką, czteroletnią, o włosach bardzo jasnych i oczach niebieskich. W wieku pięciu lat dobrze umiałam czytać i pisać, nie lubiłam mówić po rusku, choć często spotykało się tu Ukraińców.

Mój ojciec Bolesław pracował w cukrowni jako technik specjalista przy turbinach (kończył szkołę techniczną). Mama skończyła średnią szkołę, nigdzie nie pracowała. U nas mieszka kuzynka Nela, która pomaga mamie w domu i opiekuje się mną.

Brat mamy Mieczysław ukończył Szkołę Pedagogiczną i jest kierownikiem szkoły w Wierzbowcach koło Horodenki. Babcia – mama mojej matki – Paulina prowadzi wujkowi dom i gospodarstwo w Wierzbowcach. Przyjeżdżają do nas, gdy nie ma nauki (święta, ferie, wakacje itp.). Babcia z wujkiem zaopatruje nas w świeże produkty do jedzenia. Babcia również na spółkę prowadzi „Trafikę” (tzn. taki sklep z gazetami, papierosami itp.).

W okresie wiosennym mama zapisała mnie do ochronki (tak jak do przedszkola). Ochronkę prowadzą siostry zakonne. Ja chodzę chętnie, bo tam jest dużo dzieci. Jest duży piękny ogród, są zabawki, huśtawki. Siostry organizują imprezy religijne, państwowe. Urządzają przedstawienia – pamiętam swój debiut na scenie: „Powitanie wiosny”, byłam kwiatkiem, rola krótka – skończyłam zaraz, gdy wyszłam na scenę, bo przeraziłam się tak licznej widowni. O wiele za szybko z płaczem wybiegłam do mamy (miałam cztery lata). Również nie bardzo zaakceptowałam św. Mikołaja, mimo że dostałam od niego piękne sanki.

W okresie przedświątecznym kościelny roznosił po domach opłatki, a ja dostałam piękną białą szopkę z Jezuskiem na sianku. Była zrobiona z muślinu i tiulu z naklejonymi gwiazdkami i aniołkami. Tiul był usztywniony – tworzył chmurki. Długo pamiętałam tę szopkę i do dziś ją wspominam.

### OSTATNIE DNI 1938 R. – OSTATNIA RODZINNA WIGILIA

W związku ze zbliżającymi się świętami Bożego Narodzenia ojciec i inni pracownicy otrzymują coroczny deputat cukru. Wobec czego mama z Nelą rozdzielają cukier dla naszych sąsiadów i biednych (taki jest zwyczaj u nas w domu).

Zwiastunem świąt jest przyjazd mojej babci Pauliny i wujka Mieczysława ze wsi. Furmanka, którą przybyli, była wyładowana po brzegi zaopatrzeniem świątecznym, np. przywożą zającą, indyka, ryby i inne artykuły spożywcze, również na wierzchu piękną, dużą choinkę. Rozładowanie tego wszystkiego zajmuje dużo czasu. Choinkę tata przenosi do ogrodu, ażeby igły nie opadły; ryby zostają umieszczone w dużej balii z wodą. Zając zostaje zawieszony za oknem, drób przygotowany do dalszej obróbki. Dom wysprzątnany, pokoje czekają na gości. Punktem centralnym jest kuchnia, tu skupia się uwaga i krzątania. Tu gotuje się kutia, barszcz czerwony, przygotowuje się „drobne ziarno” – mak do utarcia do kutii, lepi się uszka z grzybami i śledziem solonym jako nadzienie. Pierogi z kapustą. Ryba będzie smażona. Do smarowania opłatków jest przygotowany miód, który babcia dodaje wraz z bakaliami do kutii. Zapach pieczonego mięsiwa rozchodzi się po całym domu. Babcia rozcynia w dużej dzieży ciasto, z niego będą pączki smażone z różą. Pączki te będą dla gości, domowników oraz dla kołédników. Dla kobiet noc przed Wigilią to ogrom pracy, nie będą nawet mogły spać, ażeby zdążyć z robotą.

W Wigilię każdy ma przydzielony zakres końcowych obowiązków. My z tatą idziemy na sanki, ażeby dorośli mogli kończyć prace.

Jest piękny dzień, słoneczko świeci, śnieg bieleje. Po powrocie do domu – niespodzianka, czyli pięknie ubrana choinka stoi w pokoju, a pod nią dużo paczek z zabawkami. Stoję przed choinką i podziwiam ozdoby, szklane bombki, ptaszki, dzwonki, gwiazdki, są również orzechy, jabłka i świeczki (nie wolno mi ich dotykać).

### KOLACJA WIGILIJNA

Po modlitwie ojciec podchodzi do wszystkich uczestników i składa życzenia, śpiewamy kolędy. Rozpoczyna się kolacja, w czasie której przychodzą kołédnicy z gwiazdą, z kozą i innymi, za oknem śpiewają kolędy po polsku i rusku. Babcia wynosi im pączki, ciasto i pieniądze. Kolacja trwa długo – ja niestety muszę iść spać ze swoimi zabawkami. Po świętach nowe przygotowania do sylwestra i Nowego Roku 1939.

Rodzice wybierają się na bal do „Sokoła”, tam się mają spotkać z innymi uczestnikami. Mama była u fryzjera, wkłada piękną, ciemnoniebieską sukienkę z takim ogonem. Mnie najbardziej podoba się góra sukienki z haftowanym motylem i cekinami. Nela też idzie z nimi. Ja z babcią zostajemy w domu.

### Rok 1939

W sierpniu będę mieć pięć lat.

Odczuwa się jakieś niepokoje. Miałyśmy jechać na wakacje do znajomych, ale ojciec stwierdził, żeby zostać w domu. Chodzimy z mamą na pływalnię. Wujek zjechał ze wsi i wyjechał do Krynicy. Babcia z mamą i Nela robią konfitury na zimę. Wujek wcześniej wraca z Krynicy i cała rodzina wraz ze znajomymi dyskutują w domu. Dzieci w tym czasie zmuszane są do zabawy w ogrodzie. Ojciec z cukrowni dostaje instrukcje o obronie oraz przynosi do domu takie dziwne maski. Jest zarządzenie z miasta, że wszystkie budynki mają mieć na strychach piasek – ochrona przed pożarem. Rozwożą ten piasek po obiektach. Mama z Nela i babcią rozrabiają mąkę z wodą, tną papier pakunkowy – będą kleić okna, jako zabezpieczenie przed gazem. Domownicy robią zapasy żywności. Babcia likwiduje swoją „Trafikę”. Wszyscy chodzą podenerwowani, słuchają

radia, wujek uspokaja, że słyshał: „Polska obroni się, nie da nawet guzika”. Rodzice ustalają z sąsiadami, że wykopią w miedzach wspólnie (Polacy i Ukraińcy) schron-ziemiankę, który będzie w kształcie litery L z dwoma wyjściami. Ziemianka była duża, mogła wiele osób pomieścić, głęboka, sufit miała z desek i prętów żelaznych, umiejscowiona była daleko od drogi. Dla zamaskowania jej wysypano ziemię i posadzono krzewy porzeczek, malin i inne. Wejścia do niej były zasłonięte ruchomymi krzewami. Przetrwała bardzo długo – mama twierdziła, że ponad cztery lata, i niejednokrotnie uchroniła nas i innych przed śmiercią. W ostatnich dniach sierpnia czy też na początku września brak było jakichś konkretnych wiadomości. Spotykaliśmy ludzi, którzy jechali główną ulicą od strony cukrowni, kierując się na Rumunię. W następnych dniach coraz więcej ludzi udaje się w kierunku Zaleszczyk – opowiadają, że wojna się zaczęła, są głodni i spragnieni. Wszyscy otrzymują jedzenie i picie. Zaczyna się coraz większy tłok na drodze, idą pieszo, spieszą się. Wojsko jedzie autami, końmi, dużo furmanek z dobytkiem. Uciekają w dzień i nocą. W pewnym dniu wujek wbiega do domu z wiadomością że Rząd Polski wyjechał do Rumunii.

### NIEDZIELA (17 WRZEŚNIA 1939 R.)

Rano, o godzinie bardzo wczesnej – świt – budzi nas wszystkich przeraźliwy huk i warkot samolotów. Tato z wujkiem wybiegli przed dom. Sąsiedzi krzyczą, że zbombardowano cukrownię i gorzelnię. Uciekamy do schronu, mama tuli mnie, bo jestem zaspana i wystraszona – wrzeszczę. Ludzie uciekają z ulicy, chowają się do cerkwi i ogrodów, inni biegną dalej. Dowiadujemy się od nich, że już od kilku dni bombardowane są drogi i szosy. Wszyscy nad słuchują warkotu samolotów, a w chwili, gdy słyhać samoloty, uważnie obserwują – czyje to samoloty lecą w kierunku Zaleszczyk. Wreszcie ojciec i inni twierdzą, że są to samoloty niemieckie. Dzisiaj nikt nie idzie do kościoła ani do cerkwi. W południe znów nadlatują samoloty i bombardują drogę z uciekinierami. Przy każdym huku wszyscy w schronie kulą się i jest cisza, jedynie słyhać płacz dzieci. Nareszcie przelecieli, cisza, wychodzimy ze schronu, dorośli pomagają uciekinierom, dają jedzenie, picie, opatrują ich. Gdy proszą o nocleg, rodzice oraz inni sąsiedzi chętnie ich przyjmują. U nas nocuje lekarz oraz młynarz, są bardzo słabi i zmęczeni. Noc przechodzi spokojna, bez nalotów, lecz ludzi uciekających jest coraz więcej, wszyscy dążą do Zaleszczyk.

### PONIEDZIALEK

Bardzo wczesnie rano zwiększają się okrzyki i nawoływania – tłum biegnie. Gdy ojciec usiłuje zdobyć jakieś wiadomości – dowiaduje się, że za nimi jadą Sowietci. Słyhać coraz głośniejszy warkot i zgrzyt pojazdów. Z naszego podwórka widać na Kote-kówce (wschód) małe sylwetki pojazdów, które kierują się na trzy mosty, czyli na wjazd do Horodenki.

Wujek i tata biegną do centrum zobaczyć, co się dzieje. Wujek widzi wjeżdżające tanki i zdąża przejść przed nimi na drugą stronę ulicy, ojciec zdążył powiedzieć mu, żeby uciekał, podczas gdy sam został w domu. Wujek, ubrany w koszulkę letnią i buty (już nie wrócił do domu), tak rozpoczął swój żywot tułaczy: Rumunia, Szwajcaria, Anglia, Francja – służył u gen. Maczka – wrócił dopiero po wojnie, w 1948 r., do Krakowa – po

śmierci babci Pauliny. Ojciec do domu dowlókł się (na szczęście) dopiero wieczorem. Ledwie Sowietci wjechali do Horodenki, a już w naszym domu była rewizja. Twierdzili, że inteligencja, burżuje – mają broń. Przyprowadził ich Ukraińiec. Szukają ojca i wujka, a przy okazji z szuflad wyciągają zegarki i biżuterię. Wyglądają okropnie w swoich uszatkach i kufajach – brudni i obszarpani. Zabierają od nas nocujących uciekinierów. Ja bardzo się ich boję i drę się wniebogłosy, oni tego nie lubią, wychodzą niezadowoleni.

Na następny dzień babcia Paulina bardzo denerwuje się o los wujka Miccia, dowiaduje się, że dużo wojskowych i cywilów siedzi zamkniętych w gmachu sądu. Uzgodniły, że wezmą mnie tam ze sobą, ale mam zabrać plecaczek z jedzeniem, a one wezmą koce i ubrania. Gwar jest duży, bo licznie przybyli ludzie dopytują się o swoich bliskich. Babcia Paulina dopytuje się o wujka, ktoś jej mówi: „Zdażył on przejść do Rumunii”. W gmachu tym jest bardzo dużo uciekinierów i żołnierzy, którzy nie zdażyli przejść przez most do Rumunii. Żołnierze proszą o cywilne ubrania. Mama z babcią biorą z domu męskie ubrania, koce, wódkę i jedzenie.

Ja również idę z nimi, mam plecak większy ode mnie. Ruscy nie chcą nas przepuścić, ale babcia za wódkę wchodzi z nami, rozdajemy odzież, ale to jest niewystarczające.

Ojciec był w cukrowni i wrócił do domu, twierdził, że jemu nic nie grozi, a może innym pomóc. Pracuje w cukrowni – często wraca nad ranem do domu mokry, brudny i zmęczony. Mama denerwuje się i często płacze, ale nic to nie pomaga. Babcia Paulina dostaje wiadomość, że wujek jest w Szwajcarii, zdrowy. Nela wyjechała do rodziny. Mama z babcią robią porządki, bo chcą wynająć część domu lokatorom.

Pewnego dnia tata wraca wcześniej z cukrowni smutny i zdenerwowany. Powiedział mamie, że może być różnie z nami, bo dowiedział się, że ktoś ich zdradził, a do tego wcześniej przy przerzucie na granicy nakryli ich „rakietami”. Jemu i jeszcze dwom osobom udało się wrócić cało, zresztą nie wiadomo, co się stało.

W kilka dni później (daty nie pamiętały ani babcia, ani mama) okropny łomot do drzwi, było po północy, tato wstał i otworzył drzwi. Do mieszkania wpadło trzech żołnierzy z bronią i jeden cywil (mama twierdziła, że enkawudzista) – ojcu kazali usiąść przy drzwiach, jeden z nich broń miał skierowaną w niego, pozostali rozpoczęli rewizję. Mnie małą wyrzucili z łóżeczka, bo szukali „ruzi” – czyli broni. Wszystko powyrzucali z szaf, łóżek. Bardzo skrupulatnie szukali w szufladach, całe szczęście, że babcia schowała biżuterię i inne cenne przedmioty poza domem. Znalezione obrączki, pierścionki i łańcuszki odkładali osobno, twierdzili, że to burżujskie. Mama uprosiła obrączki swoją i ojca, bardzo niechętnie na to przystali, powiedzieli, że zostawiają kwit na wszystko, co biorą, a mama ma się zgłosić po ich odbiór na komendę. Nie pozwolono mi się wysikać do nocnika, bo sprawdzali, czy ja tam czegoś nie wrzuciłam.

Gdy całe mieszkanie było zrujnowane, zwrócili się do mamy z pytaniem, gdzie jest broń, bo oni wiedzą, że broń jest w domu. Mama odpowiedziała, żeby ją sobie wzięli, skoro wiedzą, że broń jest w domu. Porozbijali jeszcze szafę, kredens i kanapę, nic nie znaleźli, zapowiedzieli, że jeszcze tu wrócą i znajdą ją.

Ojcu kazali się ubrać, bo muszą spisać go na komendzie i że on wróci zaraz do domu. Mnie nie pozwolili pożegnać się z nim, jeden z nich wyszarpał mnie od niego, tak że upadłam i bardzo płakałam. Ojca wyprowadzili skutego do samochodu. Przez dłuższy czas dom nasz był obserwowany. Mama z babcią bardzo denerwowały się, gdzie tato mógł schować broń. Starały się żyć jak dotąd, by nie dać żadnego podejrzenia.

Chodziłyśmy z babcią do kościoła, na spacer. Chcę wyjaśnić, że przy naszym domu była dobudowana komórka, w której hodowano kury, gołębie, króliki, również trzymano węgiel na zimę. Miała małe okienko oraz solidne drzwi. Po pewnym czasie mama z babcią stwierdziły, że może ojciec tam coś pod węglem schował. Zaczęły przeszukiwania strychu i części podpiwniczonej budynku, ale nic nie było. Przeniosły się po tygodniu do komórki, przerzuciły opał i kurniki – też nic nie znalazły. W czasie przeszukiwań moim zadaniem było być w ogrodzie i obserwować ulicę, czy ktoś nie przechodzi. Jako hasło miałam wołać: „Babciu, głodna jestem”. Po kilku dniach przeszukiwania mama powiedziała do babci Pauliny, że „wszystko w porządku”. Zaczęły naradzać się ze sobą, co zrobić i gdzie upłynnić broń z domu, bo tego było dosyć dużo, to znaczy naboje, trzy rewolwery, rakietnica i inne, na które nie znały określenia – na szczęście była to krótka broń. Wymyśliły, że babcia weźmie dużą bańkę i do niej włoży, ile będzie mogła, i to wszystko przeniesie. Za cukrownią były pola uprawne, a tam studnie, wobec czego babcia ubrana w szerokie spódnice opasywała się pasem z nabojami, do ręki brała bańkę z ładunkami i tak szła w pola z kopaczką. Dużo tego było, bo babcia kilkakrotnie chodziła i topiła to „świństwo”, jak mówiła.

Muszę wyjaśnić, że mój ojciec zakopał ten „arsenał” przy wejściu do komórki. Mama jeszcze raz przeglądnęła komórkę i znalazła pas skórzany. Ponieważ bała się o babcię, żeby jej nie przyłapano, to uzgodniły, że ten pas spali się w kuchence letniej. Rozpałyły ogień i postawiły garnek z ziemniakami, ja w tym czasie bawiłam się w ogrodzie, a tu słyszę okropny huk, okno w kuchence wyleciało, okazało się, że w pasie były naboje, a garnek z ziemniakami znalazł się za oknem, piec nadawał się do naprawy. Mama stwierdziła, że całe szczęście, bo nikt nie szedł ulicą. Tak zakończyła się babska likwidacja broni.

W domu u nas zamieszkał lokator, który pracował w cukrowni. Od niego mama dowiedziała się, że ojca wraz z kilkoma pracownikami NKWD przewieźli do Stanisławowa. W Stanisławowie mieszkała siostra ojca, mama zawiadomiła ją o aresztowaniu ojca, lecz niestety ona też nie mogła pomóc.

Te tragiczne przeżycia dopełniło to, że mama dowiedziała się, że nasze nazwiska są na liście do wywozu na Sybir. Mama zaczęła szukać dostępu do tych wiadomości – udało się za odpowiednią kwotę, że dostałyśmy wcześniej ostrzeżenie. Ponieważ były to wywózki nocami, to przez kilka dni nie wolno nam było spać w domu, aż transport z Horodenki wyjechał. W czasie tym przebywałyśmy u sąsiadów Ukraińców w piwnicach lub w stodołach. Często głodne, brudne, przestraszone. Nasze noclegi u znajomych musiały się zmieniać. Na wszelki wypadek w domu zawsze był bagaż spakowany, tzn. worki z pościelą i trochę jedzenia. W tym czasie w drugiej połowie domu mieszkał lokator, który był pracownikiem cukrowni i jeszcze „innej firmy”, w celu „opieki” nad nami. Gdy on był w domu, to nikt z „władzy” nie wchodził do nas do domu. Wiele wiedział o pewnych poczynaniach władzy. On też o nas nie wiedział, gdzie śpimy, bo babcia kłamała, że jedziemy na wieś.

W naszym domu okna od początku wojny były często przysłonięte arkuszami blachy, które na noc zakładała babcia. Przez szpary obserwowałyśmy, co się dzieje na zewnątrz, kiedy należy uciekać z domu – piwnicą lub na strych i w ogrody. W ten sposób uchroniłyśmy się przed Sybirem.



**RELACJA MOJEJ MATKI WANDY POKORSKIEJ (ZEZNANIA W IPN)**

Lokator przekazał mamie wiadomość, że za dwa dni ma się odbyć rozprawa mojego ojca. Mama wzięła pieniądze, kielbasę, słoninę, wódkę i tak spakowana pojechała do Stanisławowa. W sądzie przy ul. 1 Maja w Stanisławowie, po przekupieniu strażników, udało się jej dostać przed gmach sądu (całą noc przesiedziała wraz z innymi pod drzwiami). Rano na rozprawę przywieźli aresztantów. Auto to nazywano „trumną”. Rozprawa była nazwana „przeciwko politycznym B. Pokorskiemu i innym”. Wiele osób weszło na salę rozpraw, przez trzy przekupione warty. Mama, siedząc przy wejściu, nie mogła nerwowo wytrzymać i w momencie, gdy zaczęli odczytywać zarzuty skierowane przeciwko ojcu, który siedział skuty, brudny i zarośnięty – wrzasła: „Bolciu, a za co ta kara?!”. Na jej krzyk usiłował podnieść się z okratowanego krzesła. Więcej nic nie widziała, bo zrobił się ruch i słyszała za sobą okrzyki po rusku: „Łapać ją! Kto ona jest?”. Zdażyła skoczyć na korytarz i zbiec dwa piętra niżej, ktoś ją chwycił za rękę (chyba był to Żyd). Narzucił na nią jakiś płaszcz i posadził ją wśród innych ludzi wyczekujących, dał jakiś worek do rąk.

Strażnicy byli przekupieni, więc szukali w innym kierunku. Gdy wszystko uspokoiło się, ten, który trzymał ją za rękę, wstał, pozostali też wstali i wszyscy wyszli z gmachu sądu na zewnątrz. W ten sposób udało się bez aresztowania. Mama opowiadała, że nie wie, jak doszła do przystanku autobusowego, wie, że ktoś jej doradził: „Nie masz przepustki-kontrolki, a masz pieniądze, to weź większą kwotę w rękę i podnieś do góry jako kontrolkę”. Rada odniosła dobry skutek, mama weszła do autobusu i tak dojechała na przedmieścia Horodenki. Zatrzymała się u sąsiadów i dowiedziała się, że NKWD już było w domu.

Po 20 listopada 1940 r. przyszedł do nas NKWD-zista z wezwaniem dla mamy, że ma jechać z nim do Stanisławowa na przesłuchanie. Przywiózł list ręcznie pisany przez mojego ojca.

Pożegnała się z babcią i ze mną, sądząc, że również jest aresztowana, bo NKWD ją konwojuje. W sądzie stanisławowskim dużo zadawali pytań, na które nie zawsze dawała odpowiedzi. Przesłuchiwało ją kolejno trzech wojskowych (NKWD). Chcieli wiedzieć: z kim ojciec się kontaktował? Czy miał kochankę? Co robił? Jakie miał kontakty? Mama cały czas płakała i mówiła, że nic nie wie – krzyczeli, grozili jej, że ją zamkną i dziecka ani matki nie zobaczy (ale nie torturowali). Długo to trwało, cały dzień, pod wieczór wypuścili. Zapowiedzieli, że na tym nie koniec, że będzie wzywana, co tydzień ma meldować się na komendzie w Horodence. Po powrocie mama ukrywała się u sąsiadów Ukraińców. Tak to trwało jakiś czas.

Nadeszły święta i Wigilia. Moje ozdoby choinkowe zostały rozdane po sąsiadach, jak i wiele innych wartościowych rzeczy. Wigilia smutna, opłakana. Już nikt nie przychodził do nas kolędować. Za choinkę była gałązka świerkowa zerwana u sąsiadów, ubrana papierowymi łańcuchami, przeze mnie robionymi. Pod choinkę dostałam ołówek i placek pieczony na blasze kuchennej. Była kutia, opłatek i kompot z jabłek.

Tej zimy zaczął nam dokuczać głód i zimno, brakowało opału, jedzenia. W domu ciemno. Śpimy we trzy w jednym łóżku, ja naturalnie jestem ogrzewana przez babcię i mamę. Po przeglądnięciu strychu, piwnic i komórki znalazło się trochę opału do gotowania kaszy kukurydzianej i ziemniaków.

Wreszcie wiosna – trochę cieplej, słoneczko świeci, wiadomości żadnych nie mamy. W Horodence dużo wojska sowieckiego, na szczęście u nas w domu nie, bo nie

ma miejsca, lokator mieszka. Często nad nami latają samoloty niemieckie, szczególnie wieczorami. Lecą w kierunku Zaleszczyk i Czerniowiec, bombardują mosty na granicy. Sowietci ostrzeliwiają je, a my boimy się, czy któryś nie rzuci nam czegoś na dom.

### PIERWSZY FRONT NA NASZYCH TERENACH

Słyszymy, że Niemcy zaczynają się bić z Ruskami, co utwierdza w nas nadchodzące wiadomości. Sowietci wycofują się z naszych terenów, często widzimy walkę samolotów nad nami, wtedy chowamy się do piwnic. Blisko są odgłosy strzelaniny. Lokator wyprowadził się.

Pewnego ranka sąsiadka przybiegła do nas i kazała natychmiast zamknąć dom i biec do jej piwnicy, bo Niemcy są już koło cukrowni, a kule gwizdzą nad naszymi domami. W piwnicy jest tłok, ludzie zdenerwowani, jedni kląną, inni się modlą. Ostrzał karabinowy i armatni ucisza wszystkich. Lecą szkła, cegłówki – dom trzęsie się od huków. W małym okienku (świetliku), które znajduje się u sufitu piwnicy, sąsiad widzi tylko buty biegnących. Siedzimy już cały dzień w piwnicy, głodni i wystraszeni. Wreszcie jeden z odważnych decyduje się wyglądać na zewnątrz. Gdy wrócił, to z jego relacji wynikało, że na drodze przy cerkwi leży dużo ciał. Większość nie rusza się (są to żołnierze sowieccy).

W następnych dniach siedzimy w piwnicy. Babcia odważnie poszła do domu i przyniosła sucharów do jedzenia. Rozluźnia się w piwnicy – ludzie, sąsiedzi wychodzą na zewnątrz, my też – z babcią Pauliną oraz z mamą. W domu stwierdzamy rozbity komin, ale szyby w oknach są całe (chroni je blacha założona na zewnątrz na oknach). Wszyscy stwierdzają, że przez Horodenkę przeszedł front wojenny. Niemcy wprowadzają rejestrację ludności. Mama Wanda stwierdza, że uniknęłyśmy wywózki na Sybir, ale boi się wywózki do Niemiec na roboty. Znajomi załatwiają mamie pracę w sklepie z pieczywem, to ją chroni przed wysyłką. Ja zaczynam chodzić do szkoły.

Mieszkaliśmy przy bocznej uliczce i tu pech!, bo nasza uliczka jest granicą żydowskiego getta. Getto zaczynało się w centrum Horodenki, a kończyło na naszej uliczce. Gdy chcemy przejść do kościoła czy ja do szkoły, to mamy specjalne zezwolenia (przepustki).

Pewnego dnia rano babcia poszła do kościoła, ja zostaję sama w domu, bo mama jest w pracy. Jestem na podwórku – furtka zamknięta. Słyszę z dołu uliczki płacz, krzyki, tu wyłania się tłum ludzi, których pędzą SS-mani, biją ich łodygami ze słonecznika. Ja widzę wśród tłumu moją babcię, zapłakaną, uczeploną naszej furtki, a SS-man leci do niej i zamierza ją uderzyć, ja przerażona małymi rękami usiłuję otworzyć furtkę i krzyczę: „Moja babcia, moja babcia”. SS-man zatrzymuje się – patrzy na mnie i pomaga mi przepchnąć babcię na podwórko. Rozkazuje nam natychmiast wejść do domu i zamknąć drzwi. Babcia zawsze mówiła, że ją uratowałam od śmierci, bo był to transport Żydów.

Po tym transporcie getto było ciche i puste, było bardzo nieprzyjemnie, szczególnie, gdy wiatr wiał, drzwi i okna w opuszczonych budynkach otwierały się i zamykały. Płacz i inne odgłosy długo nas prześladowały. Niemcy przeszukiwali domy i samochodami wszystko wywozili. Nam, tubylcom, nie wolno było wchodzić na teren getta.

Nastała jesień, mama z babcią zwoziły z pól kukurydzę i słoneczniki, układały je na podwórku w kopki. Ziemiaki wykopane. Babcia wyluskuje z głów słonecznika ziarna, suszy, będzie z nich olej (wytłoczony w olejarni). Kukurydzę obiera się z łodyg i wiąże kolby do suszenia. Z ziarna, które u znajomych zmielimy na żarnach, będzie ka-



sza do jedzenia. Mając przykład z minionej zimy, babcia chodzi po pastwiskach, łąkach i zbiera łajno, będzie je suszyć na opał.

Brat mojej babci mieszkał pod Horodenką na wsi, miał młyn, czasem przywoził nam mąkę i słoninę. Pewnego dnia sąsiad brata przyjechał do nas i zawiadomił, że brat babci został zamordowany przez banderowców jak wracał od nas (banderowcy pocięli go kosami).

Muszę napisać jeszcze o tym, że wraz z babcią chodziliśmy po polach i zbierałyśmy kłosa zbóż, które suszyłyśmy, a później mama po pracy mielila w młynku do kawy. Z tych ziaren piekłyśmy na blasze kuchennej placki do jedzenia zamiast chleba. Chodząc po ścierniskach, nie miałyśmy prawdziwych butów, tylko szyte przez babcię z materiału, stopy były pokaleczone i bardzo bolały.

Cebulę i czosnek zbierałyśmy z ogródka i suszyłyśmy, z dyni babcia gotowała zupę. Jabłka z naszego ogródka są kwaśne, ale pieczemy je na piecu, są wspaniałe. Gdy kukurydza jest niedojrzała, to gotujemy ją, chętnie zjadamy. Gdy kaczany kukurydziane są suche, to wyłuskuje się ziarna i zanoszą do zmielenia na żarnach, na kaszę albo mąkę.

Pewnego dnia babcia znalazła opieńki, ugotowała je na obiad, po którym bardzo chorowałyśmy. Leczymy się ziołami. Suszymy zioła rumianku, liście mięty, piołunu, w ten sposób uczę się przyrody. Suszymy liście z malin, truskawek na herbatę do picia w zimie. Miałyśmy kilka kur i króliczki, ale ktoś w zimie ukradł je w nocy z kurnika. Nie ma się co dziwić, bieda wszędzie i głód.

Kończy się zima, jakoś przetrwałyśmy. Niemcy zaczynają się szykować do odwrotu, wszyscy zastanawiają się, czy to koniec wojny. Grupy UPA dają znać o sobie, mordują polskie rodziny w małych miejscowościach. Na wiecach żądają wolnej Ukrainy. Sąsiedzi ukraińscy zaczynają być wobec nas niechętni. Dużo Polaków chce wyjechać z Niemcami. Mama boi się, że wywiozą nas do Niemiec na roboty lub do obozów.

Coraz bliżej słyszymy strzały armatnie. „Kukuruźniki” – tak mówimy na sowieckie samoloty – zaczynają nisko latać, walczą często z niemieckimi samolotami nad naszymi domami. Nie wiemy, kogo się mamy bać: czy Niemców, Sowieców, czy banderowców, wszędzie widzimy „trójjaz” i pełno flag „żółtosinych”. Niemcy tym się nie przejmują – rozgardiasz całą gębą.

W dzień nie wychodzimy do miasta, ale wieczorem jest jeszcze bardziej niebezpiecznie. Sama o tym się przekonałam. W ogródku, zasłonięte od ulicy, siedziałyśmy z babcią. Ciemno, nic prawie nie widać, a tu niespodziewanie na naszej ulicy od wschodu słyszeć pijackie śpiewy banderowców i strzelaninę na wszystkie strony. Za późno było schronić się w domu, więc przycupnęłyśmy za dużym krzakiem koło schronu. W pewnej chwili coś zagwizdało, uderzyło mnie w nogę oraz w rękę. Gdy banderowcy przeszli do głównej ulicy, to podniosłyśmy się z ziemi i wtedy babcia zobaczyła, że krwawię. Kula przeleciała po nodze i trochę bardziej po łokciu i ręce. Byłam tym przerażona, nawet nie darłam się. Babcia nie ucierpiała, a moje rany nie były groźne (do dziś są ślady).

Przypominam sobie imieniny u naszej sąsiadki Steni. Ona mieszkała przy głównej ulicy, po przeciwnej stronie naszego domu, na górze. Jej dom ogrodzony był od ulicy wysokim murem. Z tyłu domu było podwórko i ogród zarośnięty drzewami i krzewami. Siedzimy na podwórku, a tu strzały i wołania: „Rizat lachów”. Zbliżają się w naszą stronę banderowcy. Stenia chwyta mnie i babcię za rękę i każe iść w głąb ogrodu. Mama z sąsiadką ucieka też do szopy w ogrodzie. Stenia, na tyle przytomna, bierze talerz ze słoniną, kawałek chleba i trochę samogonu. Banderowcy pijani dobijają się do furtki,

dopytują się, gdzie „lachy” mieszkają, bo oni chcą ich ukarać (oni nie znają Horodenki, a idą do Kołomyi). Otrzymałszy poczęstunek, poszli w stronę cukrowni. Znów nas Boska Opieka uchroniła od śmierci oraz dobrzy ludzie. Tej nocy znów nie możemy spać w domu. Rano opowiadali sąsiedzi o pożarach i mordach na terenie Horodenki.

Niemcy uciekają, nie widać ich u nas. Bandy UPA szaleją, ciężko jest wytrzymać. Ruscy wchodzą, pełno ich w centrum oraz w naszej okolicy, żołnierze, samochody, działa.

Granica z Rumunią zamknięta. Mieszkańców wyrzucają z mieszkań i domów. Obok naszego domu żołnierze naprawiają sprzęt wojskowy i samochody.

Jest piękne popołudnie, ja z koleżanką bawimy się w ogrodzie. Babcia z mamą i lokatorem przebywają w domu. Okna i drzwi pootwierane, bo ciepło. W pewnym momencie słychać warkot samolotów, nikt już na nie nie zwraca uwagi. Tym razem zniżają się, jest ich dużo i zaczyna się wokół nas „piekło”, kurz, ogień, gwizd i trzęsienie ziemi. Kładę się na ziemi i czołgam w stronę schronu (ziemianki), spadam do niej i widzę Ruska, który drugim wejściem wskakuje do schronu. Szok i lęk powoduje, że próbuję uciekać drogą powrotną po szczeblach na powierzchnię. Czuję, jak ten żołnierz chwytą mnie za nogę i ściąga z powrotem do schronu, a na moją głowę leci ziemia, piasek. Nie wiem, co się dzieje. Ciemno, duszno, ktoś mnie trzyma mocno i uspokaja. Jestem cała obsypana piaskiem i ziemią. Zaczynam słyszeć z daleka jęki, płacz, czuję smród palonych samochodów i domów. Jestem bardzo słaba, przestraszona, słyszę głos mojej mamy, boli mnie głowa. Nic nie widzę. Czy ja jeszcze żyję? Ktoś mnie gdzieś niesie, mogę oddychać, ale nadal nic nie widzę, ktoś mnie bierze, ktoś inny oblewa mnie wodą, zaczynam widzieć niewyraźnie twarz mojej mamy, nachyloną babcię oraz żołnierza sowieckiego, któremu babcia owija zakrwawioną rękę. Mama twierdziła, że on mnie uratował, bo bomba bardzo blisko spadła do ogrodu sąsiada przy wejściu, którym chciałam uciekać.

Leżę w ogrodzie, robią mi okłady z wody na oczy i głowę. Wojsko sowieckie opuszcza miasto, zbierają rannych i gdzieś ich wywożą. Wkoło jest dużo pożarów, sąsiadka została ranna, są zabici. Bombardowali bez planu, dlatego dużo bomb spadło do ogrodów oraz na drogę. Mama czuwa przy mnie, opowiada, że zdążyła schronić się w domowej piwniczce. Babcia weszła do szafy i to ją uchroniło od podmuchu i odłamków szkliwa. Z okien wszystkie szyby wyleciały. W ścianach naszego domu dużo odłamków. Na podwórku i w ogrodzie kawałki blach, cegłówki, kamienie i dużo piasku i śmieci. Obok palą się domy, dym jest duszący, ludzie próbują gasić pożary wiadrami wody ze studni. Babcia zabiera prześcieradła i ręczniki, które jeszcze pozostały, i biegnie do rannych sąsiadów. Każdy zdrowy czy lekko ranny próbuje pomóc drugiemu.

Jeszcze żyjemy, dzięki Bogu.

Zbliża się noc, sąsiedzi boją się spać w domach, wszyscy usiłują naprawiać schron, jednym słowem dosyć duża gromadka ludzi jest wkoło ziemianki pod drzewami. Wszyscy głodni, wystraszeni, próbują odpoczywać. Wyznaczane są dyżury do czuwania. Ktoś czuwa, inni odpoczywają z różnym skutkiem, nikt się nie zastanawia, czy to Polak, czy Ukraińiec.

## PRZESIEDLENIE

Jest nam coraz ciężiej żyć, brak jedzenia, obawa, czy znów Sowieci nie zaczną wwozić na Sybir. Banderowcy dają o sobie znać. Znów odczuwa się niechęć Ukraińców do Polaków. Wiadomości o ojcu są sprzeczne: że został zamordowany w więzieniu w Sta-



Autorka na drodze do Wierzbowiec, wioski położonej na południowy-  
zachód od Horodenki, gdzie pracował jako nauczyciel jej wujek,  
Mieczysław Kielski



Na dworcu towarowym w Horodence. Od prawej: Tadeusz Pokorski, autorka, Wanda Pokorska i Nella  
(opiekunka Marii) – Wielkanoc 1939 („odprowadzamy wujka na dworzec”)



Autorka i Tadeusz Pokorski



Maria Pokorska (z lewej strony) z koleżankami z sąsiedztwa



Bolesław Pokorski (1904-1941?) – ojciec autorki



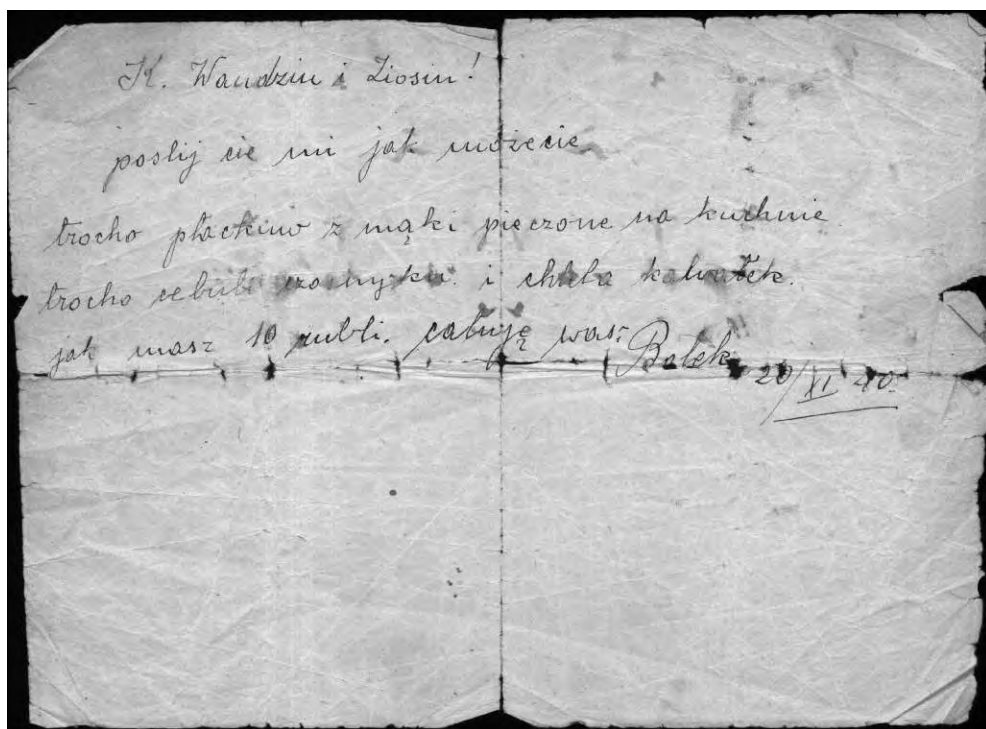
Bolesław Pokorski – pracownik cukrowni  
w Horodence (technik-specjalista)



Mieczysław Kielski (z lewej strony) i Bolesław  
Pokorski – Horodenka, lata 30.



Na ulicy w Horodence. Od lewej Bolesław Pokorski, Tadeusz Pokorski i Mieczysław Kielski – lata 30.



Ostatni list Bolesława Pokorskiego z więzienia w Stanisławowie – 20 XI 1940



**Główny Pełnomocnik Polskiego  
Komitetu Wyzwolenia Narodowego**

data 24 czerwca 1945

Nr. 140/256

Karta wydana dla  
Pokorskiej Marysi i dla córki  
Kra Kor 25/8 1946

**Karta ewakuacyjna**

Wydano obywatelowi Pokorska Wanda

mieszkańcowi wsi/miasta Horoninka ul. Stanisławów

jako dowód, że za pozwoleniem Głównego Pełnomocnika Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego dla ewakuacji na terytorium Polski ewakuuje się do Rzeczypospolitej.

Wraz z nim ewakuuje się następujących członków rodziny:

nazw. i imię	imię ojca	z. do głowy rodz	data urodzenia	uwagi
<u>Pokorska Maryja</u>	<u>Pokorski</u>	<u>z. Ka</u>	<u>5/8 1933</u>	
<u>Kalaska Paulina</u>	<u>Jan</u>		<u>1874</u>	

Obywatel Pokorska Wanda

Zł. 400

przewozi ze sobą prod. żywn.

głównie złotych 500

przebieg uz. domowego

15

tytułem zapomogi

Referat z wypłacenia

dla Ewakuacji rejonu

Stanisławów

Pieczęć

przedstawiciel strony

Zamieszkał pod

pub. nr. 587

Wciągnięto do ewidencji Rejonowego Inspektoratu Osadniczego P. U. R.-u

Rw. dn. 24 VI 1945 (podpis)

Rada Prawny Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, Wojewódzki Oddział w Krakowie stwierdza niniejszym zgodność powyższego odpisu z przedstawionym mu przez Pokorska Wanda oryginałem.

UNRRA - PU  
Oddział 11/106

Kraków, dnia 28 sierpnia 1945

Rada Prawny

Wzrost: 170 cm

Waga: 60 kg

Wzrost: 170 cm

Waga: 60 kg

Karty: Kraków P.R.R. 17.9.1945 22906-22908. (P.R.R. only)

## Ärztliches Gutachten (Verhörenuntersuchung)

Arbeitsamt: \_\_\_\_\_ (Stempel)

I. Transport am: \_\_\_\_\_

Name: \_\_\_\_\_

Wohnort: \_\_\_\_\_

Geboren am: \_\_\_\_\_

Vorgesehen für einen Einsatz als: \_\_\_\_\_

im Bezi: \_\_\_\_\_

Kurze Angabe über bisherigen Einsatz und etwaige Vermittlungsschwierigkeiten: \_\_\_\_\_

II. Untersuchungsergebnis:

1. Allgemeinzustand (auch körperl. Gebrechen, Mängel) \_\_\_\_\_

2. Haut (infektiöse, parasitäre Erkrankungen) \_\_\_\_\_

3. Hals, Kopf, Körperhöhlen (Lungen) \_\_\_\_\_

4. Brust (Tuberkulose) \_\_\_\_\_

5. Hals u. Lungen (Tub. Verdacht) \_\_\_\_\_

6. Leib (Eingeweide, Leber; Ruhr usw.) \_\_\_\_\_

7. Genitale (G-Krankheiten; Schwangerschaft) \_\_\_\_\_

8. Bewegungsapparat (Lähmungen usw.) \_\_\_\_\_

9. Sonstiges \_\_\_\_\_

Ärztliches Urteil:

1. Tauglich? ja — nein

2. Ansteckungsgefahr ja — nein

3. Lagerfähig? ja — nein

4. Nachuntersuchung? ja — nein

5. Einweisung \_\_\_\_\_

6. Künftige Aufnahme \_\_\_\_\_

(Datum) \_\_\_\_\_

V. Beurteilung des Vermittlers über Einsatz und Ausgleichsfähigkeit: \_\_\_\_\_

(Name des Arztes, evtl. Stempel) \_\_\_\_\_

(Name des Vermittlers, Datum) \_\_\_\_\_

13. — II. 1945 — 250 000

# ОПИС МАЙНА, ЩО ЗАЛИШАЄТЬСЯ OPIS MIENIA POZOSTAWIONEGO

громадянина Вокотки Надя Леона села (міста) Городенки  
 przez obywatela wsi (miasta)  
 області (воєводства) Станіславів евакуйованого в Польщу (Українську РСР)  
 обводу (województwa) ewakuowanego do Polski (ukraińskiej 55%)

## I. Будинок — I. Budynek

Назва будівель Nazwa budynków	Кількість Ilość	Кубатура Kubatura	Опис будівель (зазначається матеріал стін і даху) Opis budynków (zaznaczyć materiał, z którego zbudowane są ściany i dach)	Рік побудови Rok budowy	Оцінка (в хрб.) Wartość szacunkowa (w rb.)
Житловий будинок Budynek mieszkalny	1	15.6.25 22.5	Характер буд. бл. підлоги, під. фундаменту, під. підлоги, під. підлоги	1917	1683
Сарай, комори та ін. Szopa, komory i inne	1	4.3.2 24	Характер, під. бл. підлоги, під. підлоги	6	85
Складові приміщення Pomieszczenia na skład					
Будинки, що знаходяться поза садом Budynki, znajdujące się poza ogrodem					1768
II. Промислові підприємства II. Przedsiębiorstwa przemysłowe					
Млин Młyn					
Олійниця Olejarnia					
Пресоруння Łuszcarnia					
Цегельний завод Cegielnia					
Кузня Kuznia					

## III. Мертвий інвентар III. Inwentarz martwy

Назва інвентаря Nazwa inwentarza	Штук Sztuk	Оцінка (в хрб.) Wartość szacunkowa (w rb.)	Назва інвентаря Nazwa inwentarza	Штук Sztuk	Оцінка (в хрб.) Wartość szacunkowa (w rb.)
Сільськогосподарський інвентар Inwentarz rolny			Борони залізні Brony żelazne		
Плуги залізні однолемішні Plugi żelazne jedno-lemieszowe			Борони дерев'яні з залізними зубами Brony drewniane z zębami żelaznymi		
Плуги залізні дво-лемішні Plugi żelazne dwa-lemieszowe			Борони з дерев'яними зубами Brony z zębami drewnianymi		
Сохи Sochy			Сівальні (рядкові, розсадні) Siewniki (rzędowe, rzutowe)		
			Сівосажки Kosiarki siewne		



niślawowie, że go gdzieś wywieźli. Kolega mojego ojca twierdził, że przed nadejściem pierwszego frontu w więzieniu stanisławowskim znaleziono dużo trupów. Inny opowiadał, że ojciec i kilku jeszcze mężczyzn zostało wezwanych na korytarz i wyprowadzono ich na zewnątrz, ale nie było słychać odgłosów strzałów, tylko warkot samochodu. Inne wiadomości dotarły do nas, że widziano go w więzieniu lwowskim, siedzącego w zasiekach z drutu kolczastego, gdy zapytano, kto ty jesteś, wymienił nazwisko mojego ojca. To była ostatnia wiadomość o nim.

Po ojcu ślad zaginął. Dopiero w 2002 r. babcia Marysia dostała z Ukrainy pismo, że Bolesław został skazany na 10 lat ciężkich robót za to, że uczestniczył w kontrewolucji, która chciała obalić ustrój komunistyczny. W piśmie tym rząd Ukrainy rehabilituje go z dniem 17 kwietnia 1991 r. (pismo oryginalne jest w moich dokumentach, inne pisma też).

### **Rok 1945, DNIA 24 CZERWCA**

Wyszło zarządzenie, że Polacy, którzy chcą wyjechać do Polski, mają się zarejestrować. Napisano, że ilość ludzi na pierwszy transport jest ograniczona. Jedni komentują, że wyjazd faktycznie jest do Polski, inni – że na Sybir. Mamy wszystko zostawić, tylko niewiele można wziąć. Mama przez trzy doby stoi w kolejce do rejestracji, ale i tu potrzebne są „znajomości”, dostaje kartę repatriacyjną z numerem setnym. Możemy wyjechać: babcia, mama i ja, dom i wszystko w nim ma zostać. Babcia piecze placki, suchary z maki, wody, cukru i maku. Jesteśmy spakowane, czekamy na dalsze instrukcje.

Pamiętam, jest czerwiec, kwitną kwiaty, maki, bławatki, macierzanka i inne zioła. Przychodzi wiadomość, że za trzy dni mają podstawić wagony na dworzec towarowy cukrowni. Furmankami mamy dojechać z bagażem. Przychodzą urzędnicy, biorą nasze klucze do gminy oraz wszystko, co pozostaje w domu. Nam nie wolno wracać do zaplombowanego domu. Do worków uszytych przez babcię spakowałyśmy pościel, ubrania. Dochodzą jakieś naczynia, suchary, kasze, ziemniaki. Niewiele tego, bo i tak to wszystko ciężkie jak na babcię, mamę i mnie. To, co pozostało, to obrazy, dywany, część mebli, porcelana, szkło, maszyna do szycia i inne rzeczy. Część rzeczy babcia wymienia na jedzenie, mąkę, olej, ziemniaki. Jedziemy furmanką na miejsce zbiórki, tzn. wyrzucają nas w polach za cukrownią na „torach bydłych”. Tak przez dwa tygodnie sto polskich rodzin koczuje pod gołym niebem, czekając na obiecane wagony.

Dzieci mają frajdę, biegają, bawią się razem. Ja mam być niedaleko, zawsze w polu widzenia. Jesteśmy w środku obozowiska, bo sąsiedzi opiekują się nami. Pod koniec 14 dnia wieczorem przeżywamy jeszcze jeden stres. Na Polaków, którzy są na skraju obozowiska, napadają banderowcy z kosami, powstaje panika, krzyk, płacz, nikt nas nie ochrania. Ktoś siada na rower i wzywa milicję czy NKWD. Pamiętam ten krzyk babci: „Banderowcy idą na nas”. Babcia złapała mnie i z mamą przykrywają mnie bagażami. Zabroniły mi się ruszać i wołać.

Przybyła milicja, NKWD, pilnują nas przez całą noc. Rano po tym incydencie podstawiają wagony, „lory” odkryte. Wagony te zostają dokładnie załadowane, około siedem rodzin w każdym. Bagaże umieszczone są na dole wagonu, wyżej ludzie siedzą (o ile się da – śpią). Deszcz nas nie oszczędza. Burze okropne, ale upał jest gorszy, skryć się nie ma gdzie. Pociąg jedzie w tempie żółwia, co jakiś czas wojskowe pociągi mają pierwszeństwo w przejazdach. Gdy dojeżdżamy do pomp, lokomotywa nabiera wodę.



W czasie takich postojów ludzie wyskakują z wagonów i nabierają do naczyń wodę, inni, gdy stoimy w polach, penetrują, co można ukraść do zjedzenia. Myć się nie ma gdzie. Mama boi się zejść z wagonu, żeby nie zostawić nas samych, bo co byśmy zrobiły bez niej. Współtowarzysze niedoli starają się nam pomagać, przynoszą wodę, która nie zawsze nadaje się do picia. Jemy suchary, które babcia upiekła przed wyjazdem. Jedziemy dalej, o higienę nie ma mowy, zaczynają się wszy we włosach i w odzieży (całe szczęście, że przed wyjazdem mama kazała mi ściąć włosy na bardzo krótko), wyglądam okropnie. Zmniejsza nam się багаż, bo mama i babcia zawzzone rzeczy wyrzucają po drodze, przebieramy się w czyste.

Wreszcie mijamy stacje z napisami w języku polskim. Nie trzeba opisywać, ile radości w całym naszym transporcie: jedziemy do Polski, a nie na Sybir!

Dzięki Bogu, żyjemy.

Po tygodniu dojeżdżamy do Bytomia, gdzie zarządzono, że dalej mają nas zabrać do miejscowości, które są napisane w kartach repatriacyjnych. My mamy zapisane do Krakowa, że tam mamy rodzinę, wobec tego grupują nas. Do Krakowa jest 10 rodzin. Przeładowano nas do wagonów, które jadą do Kielc i w dalszą drogę do Krakowa. Zakwaterowano nas w barakach przy ul. Prądnickiej 54. Baraki te zajmowali wcześniej jeńcy niemieccy. W barakach tych mieszkaliśmy przez trzy lata, tu moja babcia Paulina zmarła. Wujek Mieczysław wrócił z Anglii, ten, który zdążył przejść przed czołgiem sowieckim, a który służył u gen. Maczka.

Na tym zakończę opisywać moje przeżycia. Chciałam wspomnieć, że pamięć o wielu sytuacjach opisanych zawdzięczam mojej mamie Wandzie, która często przypominała nasze „koszmary”, które zdarzyły się nam w czasie II wojny światowej.

To, co opisałam, to nie fantazja, była to rzeczywistość, która pozostawiła trwałe ślady w mojej psychice, nadal boję się głodu, burz, grzmotów, błyskawic. Do dzisiaj budzę się często w nocy z lękiem, czy trzeba uciekać, kryć się, nie wiem, gdzie jestem.

Współczuję ludziom, a szczególnie dzieciom na terenach wojennych.

#### UZUPEŁNIENIE DO MOICH I MOJEJ MATKI WSPOMNIENIŃ WOJENNYCH

Wreszcie spełniło się moje pragnienie, bo mogę napisać o moim wujku Mieczysławie Kielskim. Była to postać bardzo mi bliska, rodzinna, która też dużo przeszła w czasie II wojny światowej. Był on bratem mojej matki Wandy Pokorskiej z domu Kielskiej, a ukochanym synem mojej babci Pauliny.

Nadmienić należy, że dzięki jego córce Zofii Kielskiej otrzymałam tak bardzo ważne odbitki z rodzinnego albumu, które mogę przekazać dla potomnych, a które stanowią uzupełnienie historii wojennej naszej rodziny.

Jak wcześniej we wspomnieniach opisywałam – mój wujek Mieczysław Kielski ukończył studia pedagogiczne w Zaleszczykach. Później pracował w szkole podstawowej w Wierzbowcach koło Horodenki.

Babcia Paulina oraz wujek Mieczysław często przebywali u nas w Horodence, bo był to ich rodzinny dom.

W dniu 17 września 1939 r. w godzinach rannych mój ojciec Bolesław Pokorski oraz wujek z niepokojem pobiegli do centrum Horodenki, ażeby zobaczyć, co się dzieje, kto wjeżdża do miasta, bo informacje ustne były różne. W niedzielę niemieckie samoloty bombardowały Horodenkę, a 17 września (poniedziałek) 1939 r. wjechali Sowieci. Gdy



mój ojciec Bolesław wraz z wujkiem Mieczysławem stwierdzili, że „tanki” – czołgi – są sowieckie, mój ojciec wrzasnął do wujka: „Mieciu, uciekaj do Zaleszczyk, a ja zostanę z kobietami w domu”.

Wujek Mieczysław w ostatniej chwili przeszedł przed czołgiem na drugą stronę ulicy i już go ojciec nie widział.

Po latach powiedział, że z tłumem ludzi zdążył przejść przez granicę do Królestwa Rumunii. Po ich przejściu zaraz granicę Sowieci zamknęli, a dla niego zaczęła się tułacza droga.

Po powrocie ojca do domu babcia Paulina różnymi drogami starała się zdobyć wiadomości o wuju: „co z nim, czy żyje?”. Dużo smutku i łez przelała, bo był to jej ukochany syn.

Wreszcie, gdy dotarła do niej wiadomość, że zdążył dostać się do obozu uchodźców w Rumunii i że dalej stara się przedostać do Szwajcarii, babcia trochę się uspokoiła i zajęła się pomocą innym uchodźcom, tzn. organizowała wraz z innymi dostarczanie do sądu więźniom, którzy nie mieli tyle szczęścia, żeby zdążyć przejść granicę do Królestwa Rumunii, picia, jedzenia oraz cywilnych ubrań dla wojskowych. Jak już poprzednio nadmieniałam, też brałam w tym udział – na plecach plecak był większy niż ja i zawsze coś pomagałam.

Jeżeli chodzi o wiadomości od wujka, to były sporadyczne, z Francji, Wielkiej Brytanii, Belgii, Irlandii i tak dalej.

Wrócił do Polski po 1947 r., do Krakowa, gdzie niestety babcia Paulina już nie żyła. Nie miała szczęścia zobaczyć swego ukochanego syna, na którego tak czekała.

Na łożu śmierci, gdy czuwałam przy niej, to mówiła: „Powiedz Mieciowi, żeby nie siedział tam na sznurku, bo spadnie i zrobi sobie krzywdę”. Zawsze martwiła się o jego bezpieczeństwo.

W dwa lata po jej śmierci Mieczysław Kielski wrócił do Krakowa.